

Cudzoziemiec czyli jak Szwajcaria stała się moją drugą ojczyzną

Jest piątek, 21 lipca 1972 roku, dworzec w Olsztynie pęka w szwach, szczyty sezonu wakacyjnego, wszyscy gdzieś jadą, krzyki, nawoływania, piski, śmiechy, torby, plecaki, walizy, ścisk, zgiełk, tumult. Już blisko północ, ale dworzec kipi jak jakieś nieprzytomne kłębowisko, za chwilę w to kłębowisko wjedzie pociąg do Warszawy i każdy gotuje się do skoku, zarazem pilnując bliskich, bagażu, oraz siebie, żeby nie dać się odsunąć, przewrócić, podeptać, wepchnąć pod sapiącą lokomotywę... Tyle tu energii, wydaje się, że to sama młodość, ale nie, są i całe rodziny, jacyś rodzice, jakieś dzieci, pilnują się nawzajem, gubią, szukają, znajdują... Przebijając się przez ten wypuszczony z biur, zakładów pracy i szkół, zachłystujący się krótką wolnością tłum, który zarazem współtworzę... przeciskam się i ja...

Mam 18 lat, prawie żadnego bagażu i zwinność wyćwiczoną już od dzieciństwa na lekcjach rytmiki, pływania i wdrapywania się na drzewa, mury i murki w czasie dzielonym między pobyty u dziadków na wsi i życie w nieco podupadającej przedwojennej krakowskiej kamienicy ze starym podwórkiem i półdzikim ogrodem oddzielonym murem od warzywnych ogrodów siostr urszulanek, z obowiązkowym trzepakiem i różnymi przeszkodami do zdobywania, co przez dziecięce lata uprawiam namiętnie. Toteż bez problemu dostaję się do pociągu wpychana i popychana przez innych, mijam pełne już przedziały i trafiam w kolejnym na ostatnie dwa wolne miejsca przy drzwiach, błyskawicznie zajmuję jedno i natychmiast ktoś za mną siada na drugim.

Ale nie, ten ktoś jest z kimś, kto już też znalazł miejsce dalej i zajął dla obojga, skrzykują się, miejsce obok mnie zwalnia się i w tym momencie do przedziału zagląda moje Przeznaczenie: głowa w ciemnych gęstych falujących lokach, bujny zarost, okulary i jakaś dziwna inność, ledwie uchwytna, ale niewątpliwa. Cudzoziemiec? "Czy jest wolne?" pyta uprzejmie głowa i choć pytanie zadane jest po polsku, to po tym "czy jest?" moje pierwsze trwające zaledwie sekundę wrażenie potwierdza się, cudzoziemiec! Polak rzuciłby tylko "wolne?" i to wcale nie w tak grzecznym tonie, i już by siedział.

"Wolne", potwierdzam uprzejmie na uprzejme pytanie i zaraz cały cudzoziemiec rozsiada się obok mnie a ja rejestruję, że inaczej pachnie, niż znany mi ogół Polaków pachnący znajomo i swojsko, pachnie zagranicznie. Ma też na sobie ewidentnie zagraniczne ubrania i dwa bagaże, niewielką torbę podrózną i wielką torbę fotograficzną, też bez wątpienia nie polskie. Nie mogę się do niego odwrócić i wpatrywać jak sroka w kość, ale zerkam z boku, bo jest to pierwszy świadomie zarejestrowany cudzoziemiec w moim dotychczasowym życiu na tak bliską odległość. A właściwie to zerową odległość, bo siedzimy ramię w ramię, niemal przytuleni do siebie, ściśnięci w cztery osoby na wspólnym siedzisku, jakby wąskiej przydługiej kanapce, jakie wtedy były normą w pociągach PKP, ani się przesunąć, ani drgnąć. Naprzeciw nas dokładnie tak samo zwarta pozostała czwórka pasażerów przedziału tyłem do kierunku jazdy i przodem do nas. Wszyscy wyraźnie przejęci widokiem obcego wśród nas, jeszcze bardziej zeszytnieli i milcząc obserwują niecodzienną sytuację, obcokrajowca, a przy okazji i mnie.

Tymczasem obcokrajowiec nieświadom swojej wyjątkowości zagaduje do mnie po angielsku, a ja - świeżo po szkole w klasie z angielskim i rosyjskim jako obcymi językami - odpowiadałam mu reaktywując różne gotowe angielskie zdania ze szkolnych czytanek. Nie robię więc błędów, zdania są krótkie i raczej na temat, ale że nikt nas w szkole nie uczył stosowania języka w żywej konwersacji, nie umiem sobie zwyczajnie swobodnie pogawędzić. Niemniej... rozmawiamy, mając za audytorium resztę podróżnych w przedziale, co z jednej strony

napawa mnie dumą - oto moja pierwsza zagraniczna rozmowa w zachodnim języku na forum publicznym - z drugiej stresuje, bo stawia w pozycji egzaminowanej wobec egzaminatorów, choć kto wie, co kto rozumie? Rozumie, nie rozumie, wszyscy pilnie słuchają nie spuszczać z nas oka...

Na szczęście szybko pokończyły nam się tematy, sięgnęłam po książkę nabytą w biegu w dworcowym kiosku, chwilę w niej poczytałam, cudzoziemiec uprzejmie zamilkł, czas przesunął się niepostrzeżenie z piątku 21 w sobotę 22 lipca 1972 roku, głosy w korytarzu ucichły, zamknęłam książkę, ktoś zgasił światło, noc nas zmgła, koła wystukiwały rytm jak w wierszu Tuwima: tak to to, tak to to, tak to to, tak to to... Musiała ciągnąć nas też tuwimowska lokomotywa, najprawdziwszy w świecie starożytny parowóz, taki z buchającą parą, gwizdami, świstami i sypiącymi się iskrami... Tak czy tak około czwartej nad ranem powinniśmy dotoczyć się do Warszawy, tak to to, tak to to, tak to to, tak...

Działo się to prawie pół wieku temu i świat wyglądał zgoła inaczej. W tym świecie zawierała się także Polska, ale odkąd pamiętam, mówiło się o Polsce i o świecie jakby chodziło o dwa różne światy: U nas "źle" - i tu krytyka naszego ogólnego polskiego niezgustwa - a w świecie, czyli na Zachodzie, to, ho, ho, jak "dobrze". Nie miałam bezpośredniego porównania, więc nie wiedziałam, ile w tym prawdy, ale mnie osobiście było bardzo dobrze, żeby nie powiedzieć świetnie. Liceum miałam wreszcie za sobą, więc żyć nie umierać, nie kochałam ja tego szkolnego skoszarowania, oj, nie, ratowałam się wagarami, ile mogłam, ale przecież nie dało się nie chodzić do szkoły wcale, trzy lata na cztery, jak mi lata później, już w żartach, wyliczyła mama, na pewno wysiedziałam w twardych szkolnych ławkach.

Wagary wykorzystywałam nie na staczanie się, a na "doksztalcanie się indywidualne", że tak to ujmę, uczenie się "we własnym zakresie", wedle "swojego programu", co sprowadzało się głównie do chodzenia po antykwariatach i czytania wszystkiego, tylko nie lektur szkolnych, kupowania pism filmowych, także zagranicznych, gdy się trafiły, bo pasjami "zbierałam aktorki", jak to się nazywało, a te z zagranicznych gazet były o niebo piękniejsze, oraz chodzenie do kina najchętniej na filmy dla dorosłych dozwolonych od lat 16 i 18. Na cały ten czas nie wpuszczono mnie tylko raz, na "Niagarę" z Marilyn Monroe - od 16 lat - a miałam wtedy 14/15 - czego długo nie potrafiłam strawić i dlatego do dziś pamiętam.

I teraz wreszcie osiągnęłam tę magiczną uwalniającą mnie z ograniczeń dzieciństwa dorosłość, miałam dowód osobisty, pierwszą porażkę, która prowadziła mnie do tej siebie, jaką miałam się stać i kim ostatecznie jestem - odpadnięcie z egzaminu wstępnego do krakowskiej PWST (więc porażka nie była porażką, tylko krokiem na drodze do celu) oraz kochanka o figurze jak wyrzeźbionej w greckim warsztacie i - dzięki mamie znacznie mądrzejszej od otoczenia i importowanej ze Szwecji spiralce - zabezpieczenie przed niechcianą ciążą.

Właśnie jechałam do mojego chłopaka, sportowca warszawskiej Legii, tak jak się umówiliśmy, najpierw pojedę z mamą i siostrą na rodzinne wczasy na Mazury, a potem one jeszcze trochę zostaną, a ja urwę się i dołączę do obozu sportowców nad Zalewem Zegrzyńskim. Z końcem sierpnia zaczynała się Olimpiada w Monachium i Legia szykowałą swoich sportowych asów do zmierzenia się ze światowymi mistrzami dyscyplin sportowych wszelakich. Mój chłopak ostatecznie się nie załapał, z czasem stając się ze sportowca-ciężarowca fotografem sportowym, ale cała atmosfera przedolimpijska, obóz sportowych "pieszczochów PRL-u", to było przeżycie doprawdy warte przeżycia.

A ja byłam nie tylko dziewczyną jednego ze sportowców, byłam wtedy już oficjalnie jego narzeczoną, mieliśmy się pobrać w październiku, Legia dawała mieszkania młodym małżeństwom, a nie parom żyjącym "na kocią łapę", stąd nasza obok romantycznej ze wszech miar pragmatyczna decyzja: jeśli chcieliśmy być razem, a chcieliśmy, trzeba było się pobrać, tym bardziej, że Warszawa była miastem zamkniętym, żeby w niej zamieszkać, trzeba było mieć meldunek, a żeby mieć meldunek trzeba było mieć konkretny powód, na przykład dowód na założenie podstawowej komórki społecznej.

Tu wypada dodać, że zwykle na mieszkanie kwaterunkowe (od państwa) czekało się latami, na spółdzielcze wpłacało latami składki, a na własnościowe prawie nikogo nie było stać, to należało do gatunku "marzenia ściętej głowy", wygranej miliona w totolotka, lub fuksa w postaci fuchy zagranicznej wymiennie z naprawdę bogatą rodziną za granicą, co zdarzało się jeszcze rzadziej, niż trafiona szóstka. Jeśli nawet ktoś posiadał "bogatego wujka" w mitycznej Ameryce, to "bogaty wujek" zwykle był bogaty w oczach ubogich krewnych ze wschodniej Europy, ale nie w realnej Ameryce i co najwyżej, odejmując sobie samemu od ust, słał w liście po dolarze, góra pięciu, żeby nie było, że zapomniał o korzeniach.

Stąd młode małżeństwa praktycznie nie miały mieszkań, zamieszkiwały z rodzicami jednej lub drugiej strony i - jeśli do tego przybywały i ich dzieci, a najczęściej przybywały - wszyscy gnieździli się "na kupie", nierzadko aż po wymianę pokoleń drogą naturalną, czyli do śmierci rodziców, ale że wtedy zwykle i dzieci dzieci były już dorosłe i sprowadzały swoich z kolei partnerów, nadal żyło się "na kupie", uważając to za rzecz normalną i pielęgnując w miarę harmonijne współżycie w rodzinie wielopokoleniowej, co samo w sobie nie byłoby takie złe, gdyby nie bardzo oszczędny metraż tych mieszkań i typowo polski sangwiniczno-choleryczny temperament członków rodziny chwilami grożący pozabijaniem się. Nienormalne było mieć mieszkanie zaraz po wejściu w dorosłość, co szczęśliwie stało się moim i mojego pierwszego męża udziałem z racji polityki przywilejów dla wyróżniających się sportowców, którymi państwo mogło poszczycić się "wobec świata".

Pociąg zasuwał po torach, podróżni spali w najlepsze, ziemia wirowała wokół siebie i oto zza horyzontu zaczęła wyłaniać się ogromna kula płonącego wiecznym ogniem słońca w powtarzającym się odwiecznym widowisku światła, smug i barw, czy miała widownię, czy nie. W każdym razie mnie obudziła. Otworzyłam oczy, zobaczyłam przesuwający się wraz z pociągiem spektakl wschodzącego słońca wypełniający całe okno od przedziału i równocześnie do mojej świadomości dotarło, że leżę na ramieniu cudzoziemca. Odskokczyłam o ile można mówić o odskoczeniu w sytuacji, gdy z mojej drugiej strony też ktoś spał stanowiąc przeszkodę nie do przeskoczenia, i zaczęłam przeproszać obcego. Uśmiechnął się jakoś tak ujmująco a zarazem łobuzersko i, jak to w takiej sytuacji, zaczął mnie zapewniać, że nic nie szkodzi. Pewnie, że nie, wszyscy w przedziale spali na sobie pokotem i teraz zaczęli się budzić, naprostowywać i nikt nikogo jakimis wielkimi słowami nie przeproszał.

Ja jednak naprawdę byłam speszona w przeciwieństwie do cudzoziemca, którego całe to zajście wyraźnie bawiło. Miną nieledwie dwie wędrówki ziemi dookoła słońca i powie mi swobodną polszczyzną, że całą noc oka wtedy nie zmrzył, żeby mnie aby nie zbudzić, spekulując, ile ja właściwie mogę mieć lat, bo raz sprawiam wrażenie prawie dziecka, z zaraz potem dojrzałej kobiety - jakbym się mieniła. A ponieważ nie dałam się dokładniej oszacować, zdecydował, że między 15 a 35, przy czym im jaśniej się robiło, tym młodsza mu się zdawałam, co coraz bardziej niweczyło jego zamiśl poderwania mnie. Czy mimo to przeczuwał, że oto spotkał gdzieś na rubieżach Europy w małym wtedy przez turystów z zachodniej Europy odwiedzanej dziwnej krainie "białych niedźwiedzi na ulicach miast" swoje Przeznaczenie? Przez duże "P", bo nie tylko znaczyło to przewrót w jego życiu i całkiem nowy kierunek, ale kilka potężnych fikołków z niezłymi perturbacjami i daleko idącymi konsekwencjami na całą resztę życia a nawet w jakimś sensie poza jego koniec?

Spisuję tę opowieść prawie 50 lat później. W świecie realnego science fiction w stosunku do tamtych przedinformatycznych czasów wystarczy kilka kliknięć w niewielkie urządzonek (może to być gdziekolwiek, w domu, na ulicy, w sklepie, w tramwaju...) i człowiek ery informatycznej w kilka sekund dowiaduje się, że w sobotę 22 lipca 1972 roku Słońce weszło w Polskę o godzinie 3:41 na granicy Raka i Lwa, a Księżyc znajdował się w znaku Strzelca. Uwaga, są to fakty astronomiczne, radix z tamtej chwili, to jest realne niebo, taki czas wskazywało Słońce, Księżyc i planety naszego układu na tarczy, jaką stanowią poukładane w stałe konstelacje gwiazdy.

Tory kolejowe i toczące się wzdłuż linii horyzontu rozgrzewające świat lipcowe słońce prowadziło nas prosto do stolicy raz na zawsze splatając nasze losy, choć nic o tym jeszcze nie wiedzieliśmy. Gdy myślę o tym prawie pół wieku później, kiedy wiadomo już, co miało się wydarzyć, bo należy to do czasu przeszłego dokonanego, nie mogę opędnąć się od uczucia, że "tak było w górze zapisane", tak musiało się stać, skoro się zdarzyło. Jakieś siły to spowodowały, jakieś plany się zrealizowały, jakieś karmy wyrównały... Ale żeby aż tak? Cudzoziemiec wcale nie planował włóczenia się po Polsce, chciał wybrać się koleją transsyberyjską przez Związek Republiki Radzieckich po jego granice na Dalekim Wschodzie, następnie do Japonii i samolotem z powrotem.

Nie ma sensu zapuszczanie się w głąbiny filozofii w celu poszukiwania odpowiedzi, czy wszystko dzieje się przez przypadek, czy wręcz przeciwnie, jest coś takiego jak przeznaczenie, jako że jeszcze się taki filozof nie urodził, który by się na tym pytaniu nie wyłożył. Można się co najwyżej przenieść do sąsiedniej teologii i uwierzyć w Wyższą Inteligencję wszechmocną i wszystkowiedzącą kierującą ludzkim życiem wedle własnego widzimisię. Lub, jak chcieli starożytni, żyć w przekonaniu, że gdzieś tam na ośnieżonym wierzchołku Olimpu siedzą sobie nieśmiertelni bogowie i upijając się nektarem zagryzonym ambrozją układają losy ludzkie i - kłócąc się i godząc między sobą - przedstawiają śmiertelników jak małe figurki na wielkiej szachownicy, świetnie się przy tym bawiąc.

Tak, czy tak, krótko po 4 nad ranem wysiedliśmy na Dworcu Gdańskim w Warszawie i ruszyliśmy w obarczonym tobołami tłumie w kierunku wyjścia na miasto. Tam nasze rozstanie wydawało się nieuchronne, ja pojedę nad Zalew Zegrzyński, cudzoziemiec nie wiadomo gdzie. Zapytał mnie wprawdzie, czy nie zechciałabym się z nim umówić, ale uprzejmie odpowiedziałam perfekcyjnym angielskim, "no", nie zechciałabym, bo czeka na mnie mój "boyfriend" i... i w tej sekundzie znudzeni nieśmiertelnością bogowie Olimpu... lubo jacyś pomniejsi słowiańscy bożkowie znużeni długim nieistnieniem... postanowili zabawić się naszymi losami i wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu zderzyć je ze sobą.

To może zgodzę się chociaż na kilka fotek zaraz na skwerku pod dworcem? A światło słońca o świecie rozproszone w liściach krzaków na skwerku było takie piękne, sama lubiłam fotografować... Zgodziłam się i tak oto wpadł w nasze życie, jego i moje, Czarny Łabędź... i wszystkie wajchy poprzestawiał, i już nic nie miało być jak było...

*

Cudzoziemiec przemierzał Polskę latem 1974 roku fotografując i pisząc. Dużo podróżował, a z podróży przywoził zdjęcia, często uzupełniał je poetyckimi tekstami i publikował w rozkładówce "Zeitlupe" niedzielnego wydania "St. Gallen-Tagblatt"; w galerijce fotoreportaż jego autorstwa z Lampeduzy, gdy była to rzadko odwiedzana wysepka na południowym krańcu Europy (piszę o niej w tekście Odysei nadziei i smutku o uciekinierach, uchodźcach z krajów ogarniętych wojną, czy dotkniętych kryzysem klimatycznym), był też malarzem artystą (w galerijce mój

portret jego pędzla), poza tym był melomanem (sam grał na pianinie), z wykształcenia romanista, ponadto z zamiłowania poliglota (w tym wkrótce polski płynnie w mowie, piśmie i lekturze), zasadniczo na życie zarabiał ucząc francuskiego, włoskiego, czasami też łaciny, oraz niemieckiego dla obcokrajowców, w zuryskim Instytucie Minerva, gdzie przyszło mi się uczyć do drugiej matury w życiu, szwajcarskiej (i tu się już nie dało wagarować, bo sama tego chciałam).

*